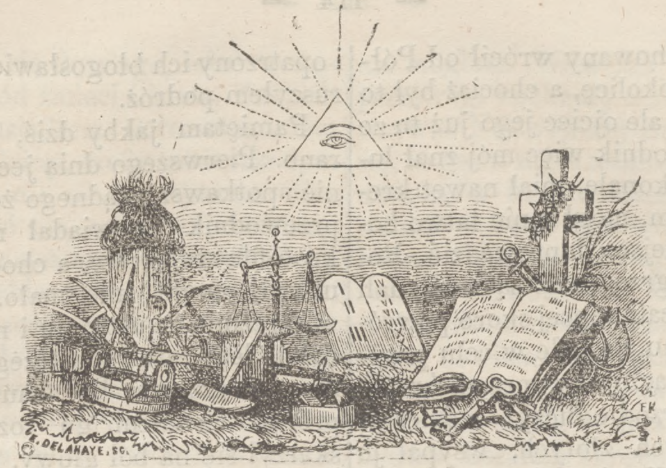
№ 15.

WARSZAWA

d. 2 (14) kwietnia

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nie bądźcie zarozumiałymi, nie przyznajcie sobie chwały żadnego dobra. Kto się szczerze nie podobał samemu sobie, ten posiadł tajemnicę podobania się królowi królów. Bądźcie maluczkimi we własnych oczach, abyście się okazali wielkimi w obliczu Sędziego najwyższego, który sam tylko ocenia prawdziwą zasługę. (Śty Augustyn).

Zdarzenie prawdziwe.

Urodziłem się w Płockiem na Mazurach. Mój ojciec rolnik z dziada i pradziada, trzymał w dzierżawie małą wioskę nad Działdówką. Dziedzic był człowiek uczciwy, mój ojciec gospodarny i rzetelny, obaj byli ze siebie kontenci i nie pomyśleli, aby się rozstać mogli. Ale chłop strzela, a Bóg kule nosi, mówi stare przysłowie; my dziś tak zamyślamy, a jutro co z nas będzie, nikt zgadnąć nie może. Tak się i tu stało: nadeszły czasy wojenne, dziedzica jak i tylu innych ogarnęła żądza sławy; pobiegł za drugimi i zaciągnął się pod znaki Napoleona. Nie mając wielkiego majątku, nie mógł zebrać znacznych funduszów na drogę, dzierżawa od mego ojca i inne nadsyłane pieniądze nie wystarczały mu przy owych drogich czasach i wojskowych pohulankach; pisał tedy do moich rodziców, proponując nabycie wioski za tysiąc czerwonych złotych, byle mu takowe za raz do Pułtuska, gdzie stał sztab marszałka Masseny, (a on był w tym korpusie) nadesłali.

Mój ojciec wojak jeszcze z 1796 roku, jakoś sobie dać radę potrafił: zboże pochował, żołnierzy jak się dało zaspokoił, a pszenicy kilkadziesiąt korczyków bardzo dobrze sprzedał. Zebrało się tedy kilkanaście tysięcy, reszty od sąsiada przypożyczył i miał sumkę gotową. Chodziło tylko, jak ją przesłać do Pułtuska. Wówczas nie było tak jak dzisiaj, kiedy oddasz pieniądze na pocztę i śpisz spokojnie jakbyś je miał w kieszeni, wtedy niczyja własność szanowaną nie była; bo chociaż cię puścił spokojnie francuz, toś napotkał westfalczyka, włocha, niemca, hiszpana i Bóg wie jakiego tam narodu człowieka, co cię obdarł z chudoby i w dodatku wysturgał.

Otóż mój ojciec po długich z matką naradach umyślił posłać mnie z temi pieniędzmi do dziedzica, lecz żem nigdy nie był w Pułtusku, a było doń od nas mil piętnaście i drogim nie wiedział, postanowił dać mi przewodnika. Jakoż życzliwy sąsiad prędko naraił żoł-

nierza, który kontuzyonowany wrócił od Półtuska, znał dobrze tę okolicę, a chociaż był to syn niemca kolonisty, ale ojciec jego już tu ze 30 lat siedział. Przewodnik więc mój znał ludzi i strony nasze doskonale, miał nawet krewniaka pod Pułtuskiem, mógł mnie łatwo bocznemi drogami na miejsce doprowadzić. Rodzice przyjęli chętnie grzeczność sąsiada, dali wóz żołnierzowi, obiecali więcej skoro powróci, a powiedziawszy mu, że jadę w celu przystania do francuzów, zaczęto wyprawiać mnie w drogę. Ojciec naprzód odliczył z dziesięć razy tysiąc czerwonych złotych, wsypał je do trzosa, włożył weń list do dziedzica i kazał się opasać, abym się jak mówił wzwyczaił. Potem dał mi takoż blisko ze sto przestróg. jak się mam w drodze zachowywać, dodając nawet, abym tam nie nocował, gdzieby psów nie było. W końcu położył pięć talarów dla mnie i kazał jutro rano wybierać się w drogę.

Moja matka dobra i cicha niewiasta, chociaż przywykła do ślepego posłuszeństwa rozkazom męża, zauważyła słusznie, że trzos pękaty zwróci na mnie ludzkie oko i że mogę na tem źle wyjść; nie chcąc zaś przeciwiać się mężowi, zawołała mnie do alkierza, odpięła trzos, wysypała złoto, a wziąwszy stary, złatany watowy kaftanik, zgrabnie w watę onego dukaty i list zaszyła, i przykazawszy abym go nie zdejmował i nie oglądał, a nadewszystko, iżbym w każdej przygodzie uciekał się pod opiekę Najświętszej naszej Orędowniczki, przeżegnała mnie i kazała iść na spoczynek.

Mnie się żal bardzo trzosa zrobiło, koniecznie zdało mi się, iż mi z nim daleko okazalej było; zacząłem więc rozmyślać, jakby to zrobić, a biorąc za skazówkę wolę ojca, postanowiłem raniutko pobiedz do karczmy i dane mi od ojca talary na drogę, zmienić na trojaki i takowemi wypróżniony trzos wyładować. Jak postanowiłem, tak zrobiłem: zmieniłem talary napakowałem miedziakami trzos i jakby na straż włożyłem dwuzłotówkę z Matką Boską daną mi od ojca na imieniny, a oznaczoną trzema krzyżykami, opasałem się, włożyłem na niego kaftanik, dalej surdut, płaszcz, okręciłem pas wełniany wkoło siebie i gotów byłem do drogi. Mój towarzysz osiodłał mi konia, sobie drugiego. Pożegnałem rodziców, i opatrzony ich błogosławieństwem i modlitwą ruszyłem podróż.

Pamiętam jakby dziś, było to we wtorek rano. Pierwszego dnia jechaliśmy szczęśliwie, nie spotkawszy żadnego żołnierza. Johan mój przewodnik opowiadał rozmaite zdarzenia, krotofile wojskowe, a choć kłamał widocznie, ubawił mnie nie mało. Przenocowaliśmy w karczmie na ustroniu i nazajutrz ruszyliśmy dalej; lecz zaraz spostrzegłem zmieniony humor towarzysza. Był smutny, zamyślony; napróżno chciałem go rozweselić, rozerwać, skarżył się na ból głowy, niemoc całego ciała; lecz mimo to śpiesznie jechaliśmy i ile mogłem nieświadomy uważać, droga nasza szła kołem, a lasem. Zdziwiony tem niepomału, zapytałem o przyczynę Johana, a on odpowiedział, iż tę drogę uważa za najpewniejszą i że niedługo zajedziemy do owego krewniaka na nocleg, a jutro raniutko będziemy w Pułtusku. Nie mając lepszej rady, musiałem przestać na tej odpowiedzi.

Już się zciemniło, kiedy skręciliśmy z drogi w gęsty las i jadąc jeszcze czas jakiś, przybyliśmy do jakiejś zagrody złożonej z budki i chlewka. Stanęła mi w myśli przestroga ojca: wolałbym jechać dalej, ale wybierać nie mogłem, wokoło gęsty bór, noc, mój przewodnik ciężko chory, chybabym nocował gdzie pod sosną, ale zimą i to było niepodobna. Oddałem się więc w opiekę Matce Boskiej i raźno zeskoczyłem z konia. Ale biedny Johan nawet zsiąść ze swego nie podołał, tak się rozniemógł; pomogłem mu, spuścił się zwolna z boleścią z siodła i poszedł do izby, jam został przy koniach.

Niedługo pokazała się kobieta, istna czarownica: straszna, zasmolona, rozczochrana, odarta i wskazała mi niby przyjaźnie chlewek, gdziem miał nasze szkapy umieścić. Usłuchałem baby, wprowadziłem dobrze podbite konie do owej klatki, rozsiodłałem, a że nie było zdziebełka siana, ani słomy nawet na podściołkę, zasypałem im owsa z sakiew. Skończywszy tę robotę, zamknąłem ile można było chlewek i poszedłem do izby. Gospodarza nie było widać w chacie, tylko owa kobieta, para odartych dzieciaków, duża maciora z prosiętami składały całe towarzystwo, do tego dym nieznośny zapełniający izbę gryzł w oczy i w gardło. Johan jęczał okropnie w alkierzu;

niespokojny udałem się do niego, leżał w kącie na wyrku wśród śmieci i błota. Znalazłszy jakiś pieniek, usiadłem koło niego, lecz nie upłynęło pół godziny, kiedy mnie taki dym i zaduch przejął, iż nie mogąc wytrwać dłużej, musiałem wyjść na otwarte powietrze. Tutaj uderzył mnie majestatyczny widok. Księżyc roztoczył po niebie wspaniale swe koło, wokoło odwieczne sosny pokryte grubą powłoką śniegu, rzucały ponury cień. W powietrzu panowała uroczysta cisza.

Nie wiem, jak długo byłbym tak dumał, kiedy pociągnięcie za połę surduta wyrwało mnie z błogich marzeń. Byłto gospodarz chaty, który w wieśniaczej grzeczności zapraszał mnie na wieczerzę; kawał odbytej drogi, świeże powietrze zaostrzyły mi apetyt, chętnie poszedłem za nim, choć do nędznej izby. Naprzód częstował mnie wódką, ale kiedym pomny na przestrogę ojca, aby wystrzegać się w drodze trunku, za nią podziękował, usłużna gospodyni postawiła na stole ogromną misę jakiejś bardzo rzadkiej kaszy, czy rozwarzonych otrąb. Głodny wziąłem łyżkę i probowałem jeść, ale gdzie tam! Choć nigdy smakoszem nie byłem, choć często kawałek suchego chleba i szklanka wody mi wystarczały, owej miłej kaszy żadną miarą przełknąć nie mogłem.

Moi gospodarstwo mało zważając na mnie, wypróżnili do połowy misy, resztę dali dzieciom... Mnie było markotno, że mimo woli odrzucam dobre serce gospodarstwa; chcąc im się ile można wywzajemnić, dobyłem chléb i sér z podróżnej sakwy i położywszy na stole, zacząłem ich częstować, co oni ile się zdało, wdzięcznie przyjęli. Jakoż po wieczerzy gospodyni poszła do alkierza, gdzie już spał spokojnie Johan i przyniosła butelkę piwa. Nie miało ono czystego koloru, było zmącone i miałem wielki wstręt do niego; ale kiedy uprzejmy gospodarz nalał w garnek i prosił usilnie, abym wypił, nie mogąc się wymówić, bez pokazania ludziom ubogim pogardy, schwyciłem garnczek i prędko się sporo napiłem. Jakoś źle się mi zrobiło, wziąłem kawałek chleba i przejadłem. Za chwilę dziwnego doświadczyłem uczucia: w głowie zaczęło się mi mącić, palić, sen ciężki, jakby śmiertelny kleił moje powieki, chciałem się ratować, uciekać na podwórze na świeże powietrze, ochłodzić głowę, przetrzeć oczy, nie mogłem. Wówczas przypomniałem sobie przestrogi kochanej matki i gorąco zacząłem wzywać Najświętszej Boga-Rodzicy; zdało mi się, że gęsta mgła mnie otoczyła, zwolna i mgła minęła, a na prześlicznym nieba sklepieniu jaśniał wysoko cudowny obraz Najświętszej Panny Częstochowskiej; jam padł na kolana i modlił się kornie do Matki Zbawiciela.

Jak długo trwał ostatni sen mój, nie wiem, silne bowiem wstrząśnienie obudziło mnie. Otworzyłem oczy, a na pół senny i odurzony patrzałem co się ze mną dzieje, czy jeszcze nie marzę. Leżałem skrępowany na łóżku, prawie bez odzieży, tylko w owym starym kaftanie, w izbie było kilku żołnierzy i rozmawiali coś po cudzoziemsku. Jeden z nich sierżant jak wnosiłem po galonkach z marsowatą miną stał nademną i silnie szarpał. Po głosie i gestach tych ludzi poznałem, że bardzo źli i wymyślają, ale na kogo i za co? wiedzieć nie mogłem, nie rozumiejąc języka. Nie długo czekając, mój sierżant przeciął pastronek wiążący mi nogi, porwał za kołnierz i postawił na ziemi. Nie wiedząc co nademną ciąży, uważałem czyn ten jak dobrodziejstwo z jego strony, spojrzałem wokoło błędnem okiem, szukając surduta, płaszcza, ale ich dostrzedz nie mogłem. Sięgnąłem do trzosa i tego nie było; zawsze jakby senny lub pijany zacząłem zbierać myśli, lecz żołnierze nie dali mi na to długo czasu, porwali mnie bowiem i wyprowadzili z chaty.

Tutaj powietrze otrzeźwiło mnie, poznałem, o co chodzi i co się zemną stać może. Zrozumiałem całą okropność mego położenia, tłomaczyć się było próżno, bo żaden mnie nie rozumiał, wyswobodzić się nie mogłem. Nie chcąc więc uchodzić w oczach tych ludzi za tchórza, nie czołgałem się, nie błagałem; ale zebrawszy całą odwagę, czekałem co dalej będzie.

Skorośmy wyszli z chałupy, postrzegłem mego przewodnika, nie wiem skąd się wziął. Widok jego dodał mi otuchy, zaczął on coś gadać, kłaniał się sierżantowi, sądziłem, że za mną prosi. Ale kiedym mu spojrzał w oczy, tom w nich wyczytał taki wyraz zdradziecki, żem się ze wstrętem odwrócił. Zawsze przecież myślałem, że mnie odprowadzą do głównej kwatery, gdzie mnie zrozumią i łatwo się wytłomaczyć potrafię, mając przy sobie list do

majora francuzkiego. Lecz z drugiej strony nasłuchałem się tyle o bezprawiach w czasie wojny, żem się wszelkiej wyrzekł nadziei.

Po długiem bugrowaniu jeden z żołnierzy przywiązał mnie do konia i ruszono w pochód. Nie zważali, żem był boso i prawie bez odzieży, bo kto tam uważa na cierpienie ludzkie w czasie wojny. Kiedyśmy wyjechali z gęstwiny, pokazał się główny gościniec, tym udali się westfalczyki, jam szedł przy koniu. Przebywszy tak kawał drogi, zatrzymaliśmy się przy krzyżówkach. Sierżant dał znak, żołnierze stanęli. Było to miejsce więcej obszerne jak zwykle podobne bywają i nosiło ślady widoczne zaszłej tam niedawno uporczywej walki kawaleryi. Śnieg był zupełnie stratowany kopytami i krwią zbroczony: tu leżał jeździec, tam koń, ten żołnierz miał rozpłatanę głowę, tamten znów odrąbaną rękę, inny poszarpane piersi, ten zakłóty lancą; w środku leżała obalona figura, koło niej widać toczył się bój najsroższy, bo była niemal pokryta trupami.

Ze zgrozą odwracałem oczy od owych twarzy, może pięknych i szlachetnych za życia. Miałem dość czasu wszystkiemu się przypatrzyć, dwóch bowiem westfalczyków zapewne na rozkaz sierżanta, zsiadło z koni i wziąwszy mnie pod ręce, oprowadzało zwolna po bojowisku, dając mi często dotkliwe dowody współczucia dla poległych kamratów.

Gdyśmy przegląd nasz skończyli, sierżant coś zagadał, poszedł pod pobliskie drzewo i zaczął je bacznie oglądać. Żołnierz, co mnie prowadził, dobył postronka, zrobił pętlę i założył mi na szyję.

Nie umiem wam powiedzieć, co się ze mną stało; kiedym zrozumiał dokładnie mój wyrok, stanął mi w myśli nasz domek rodzinny, com go musiał pożegnać na wieki. Widziałem kochanych rodziców, zdało się mi słyszeć ich żal i rozpacz, kiedy miasto uściskania jedynaka, dowiedzą się o jego haniebnej i obelżywej śmierci. Przejęty boleścią padłem na kolana, wzniosłem ręce ku niebu i zawołałem:

— Matko Boska Częstochowska, ulituj się nademną!

Ledwo domówiłem ostatnich słów, kiedy dał się słyszeć tentent koni; zwróciłem w tę stronę oczy i łatwo pojmiecie moję radość, gdym ujrzał naszego dziedzica na czele znacznego oddziału. Panie Stanisławie ratuj! krzyknąłem tak mocno, iż ten mimo znacznej odległości i stuku podków posłyszał i zwrócił ku mnie konia. Sierżant zawołał w tę chwilę, lecz jeszcze żołnierz nie zdążył mnie pociągnąć, kiedy nadbiegł pan Stanisław i stanął przy nas. Zdziwił się niepomału, znajdując mnie w tak drażliwem położeniu i odgadł tego zapewne przyczynę, bo się zasmucił, a nie pytając, zdjął mi z szyi fatalny postronek. Nadbiegł i usłużny sierżant, temu major coś ostro gadał.

Znalazł się zaraz koń, płaszcz żołnierski dla mnie, ba nawet buty i skarpetki. Wziąłem zapewne puściznę po jakim poległym nieboraku. Wsiadłem na siodło, alem tak był przerażony, żem słowa nie mógł powiedzieć, dopiero gdyśmy z panem Stanisławem ruszyli w drogę, odetchnąłem i wszystkom mu opowiedział. Słuchał major z zajęciem i rozumiał rzecz zapewne lepiej jak ja, bo mu i sierżant coś rozprawiał, ale zamyślony nie tłómaczył mi powodów, a jam się pytać nie śmiał.

Sądzę przecież, że mimo moich nieszczęśliwych przygód, nie gniewał się dobry pan Stanisław, iż stary kaftan z dukatami ocalał.

Skorośmy stanęli w Pułtusku, pobiegłem zaraz do kościoła, a padłszy krzyżem, dziękowałem Bogu i Matce Najświętszej za cudowne ocalenie. Potem doręczyłem list i pieniądze dziedzicowi, odebrałem papiery co do sprzedaży, a widząc ruch wielki między wojskiem i obawiając się jakiego nieszczęścia, prędko zabierałem się do dómu. Pan Stanisław dał mi konia, ubranie i trochę grosza na drogę i zaraz nazajutrz rano puściłem się w podróż. Znalazł się Johan i wiernie mi towarzyszył. Gadał mi o nieszczęściu Walka krewniaka, jak go francuzi zupełnie zniszczyli, jego samego nawet wzięli.

Jam słuchał, ale w duszy szeptało mi coś, że to kłamstwo, i choć nie miałem nic do zarzucenia, słuchając owego głosu, nie ufałem mu wcale i trzymałem się ile mogłem innych podróżnych, póki nie przybyliśmy szczęśliwie do domu. Jak mnie rodzice przyjęli, jak dziękowali Bogu za moje ocalenie, ten tylko pojmie, komu Pan Bóg dał równych moim ojca i matkę.

—

Dziesięć lat przeszło od mojej historyi. Nastał pokój. Resztki naszych walecznych roda-

ków, które ocaliły bitwy, nie zabiły skwary Afryki, nie pochłonęły nurty oceanu, lub nie zginęły w krwawych zapasach o wolność nowego świata, powróciły do kraju, aby zostać wśród swoich i złożyć kości na ojczystej ziemi. Pan Stanisław znalazł grób pod Lipskiem.

Mój kochany ojciec nie żył od lat kilku. Pełen lat i pracy zakończył pobożny żywot i zasnął spokojnie w Panu dnia 8 sierpnia 18.. Cześć twoim popiołom zacny obywatelu! nie cenne marmury, nie kunsztowne napisy zdobią twoję prostą jak twe życie mogiłę, ale poczciwa pamięć spółrodaków i sąsiadów, ale miłość i łzy nasze!

Jam odziedziczył wioskę i razem z matką gospodarzyliśmy. Wypadł mi był interes do Płocka, a choć o pięć mil tylko od niego mieszkałem, dzień był tak krótki, droga zwłaszcza pod Bielskiem tak szkaradna, żem zaledwo znudzony i zły przyjechał na noc do Trzepowa. Gospodarze ludzie uprzejmi, przyjęli mnie gościnnie o ile mogli.

Była tam duża izba i alkierz, ciągle jak uważałem zamknięty. Pogawędziwszy z gospodarzem, przekąsiwszy trochę na wieczerzę, kazałem sobie przynieść siana i pochwaliwszy Pana Boga, położyłem się wcześnie, bom przemókł i naziąbł. Jakoż zaraz zasnąłem, ale koło północy obudziłem się, wszyscy spali w domu. Przed obrazem Matki Boskiej paliła się mała lampka i słabo oświecała izbę. Leżałem i patrzyłem. Słucham, otwierają się drzwi z cicha od alkierza, wychodzi człowiek wysoki na pół ubrany, długa czarna broda spada mu na obnażone zakrwawione piersi, cały wyschły istny szkielet, trzyma rękę przy sercu. Z początku przeraziłem się, ale widząc, że przybysz nie ma nic przy sobie, czekam spokojnie, co dalej będzie. On siadł przy kominie naprzeciw światła lampy, zadrżał i zawołał:

Precz, precz szatanie! po co przychodzisz, czego tu szukasz? Ha! wiem, mnie chcesz porwać... czekaj jeszcze nie czas, bo ja żyję jeszcze. Ha wiem teraz, nie dostałeś twej części z owych pieniędzy, masz, masz (tu rzucił trzos na ziemię), a idź precz... Urągasz mi, milcz. Ty wiesz, złoto lub miedź za krew sprzedaną, zarówno stopione leje się na nędzną duszę. Stój! jest tam pieniądz z świętą twarzą, nie tykaj go. Twoja to sprawa zły duchu, tyś mi szeptał, aby go oddać na stryczek, mówiłeś, że to nie ja go zabiję, kłamałeś...Tyś mnie kusił, jam namówił mego brata i obaj daliśmy ci cyrograf na dusze. Tamtegoś już dostał, sam widziałem, jak go wlókłeś za nogi; po mnie przychodzisz, ale ze mną nie łatwa sprawa... jam stary żołnierz, bronić się będę... Masz, masz!..

To rzekłszy, szarpał piersi pazurami.

Jam struchlał, stanął mi w pamięci Johan przewodnik i wszystkie szczegóły okropnego mego zdarzenia. Teraz dopiero pojąłem, kto był onego sprawcą. Johan (on to był), zaszamotawszy się, cały krwią oblany, spojrzał do koła westchnął głęboko, podjął trzos i wszedł do alkierza. Jam do rana nie mógł zmrużyć oka, straszliwa kaźń zbrodniarza przejęła mnie do głębi duszy. Pragnąłem mu przyjść w pomoc z pociechą religijną i prosiłem Boga, aby mu wybaczył. Nazajutrz pytałem o niego, gospodarstwo powiedzieli mi, że nieszczęśliwy ich krewny, cierpi chwilowo rodzaj szaleństwa i ciągle się szatanowi broni. Poczem usypia na parę dni, i teraz właśnie w głębokim śnie leży pogrążony. Darmo go było budzić. Odjechałem.

Wędrówka po kraju.

Patrzaj, daleko gruzy zamczyska
Posępne zdala, wymowne zbliska,
Stojąc od wieków na skał odłamie,
Przywdziały szare ze mchu odzieże;
Ale jak żołnierz z pobojowiska
Jeszcze podnosi skrwawione ramie,
Wzniosły ku górze samotną wieże,
Gdzie stara cegła krwawym kolorem
Po nad bukowym czerwieni borem.
Bluszcz, chwast i paproć w rozliczne wianki
Pełza po murach, wieńczy krużganki.
Dziewuszka z dzbankiem z chaty wypada,
Biała chusteczka spływa jej z głowy,
Czy to rzeczułka z kamieńmi gada,
Czy sobie szepcą liście dąbrowy,
Czy płyną czyste do mnie ku górze
Krakowskiej śpiewki dźwięki wieśniacze?..
O jakże z całej piersi im wtórzę,
Jak czuję rzewność, która w nich płacze,
Jak czerpie radość w cichem weselu.

Śpieszy się gromada do Korwica i starce i dzieci, aliści spostrzegają, że jakoś przybra-

ny świąteczniej, weselszy ma uśmiech na twarzy, oczami zerka, przyśpiewuje sobie; widno, że będzie rozprawiał coś wesołego.

— Cóżeście nam się tak wystroili Korwicu, jakby na gody? zapytała Karolowa żona sołtysa.

— Prawda, prawda, nawet odmłodnieliście, dodała Żośka żona gajowego.

— Bo to widzicie, odrzekł Korwic, byłem przez kilka dni w Warszawie. Stałem na Grzybowie, gdzie jest targ zboża i siana i gdzie nowy kościół mają wybudować ze składek całego kraju. Otóż miałem koniki na podwórzu, a jedzenie u stróża jednej dużej kamienicy rodem z Ostrowa pod Pieskową Skałą w Krakowskiem. Uczciwy człek i rzetelny, za dwie noce u niego przebyte nie żądał odemnie żadnej zapłaty. Żonę ma Zośkę ze wsi Smolenia, kędy to jest zamek, o którym wam poprzednio rozpowiadałem. Uczciwe kobiecisko kołysząc nieraz swojego syna, po nocy nuciła mu ładniutką piosenkę, w której odbijała się tęsknota do stron krakowskich. Słysząc ją prawie przez trzy nocy, nauczyłem się jej na pamięć, i wam jeżeli chcecie, to zaśpiewam.

— Dobrze, dobrze. I my matki nauczymy się i będziemy śpiewać nad swymi synami, zawołały dwie kobiety, jedna żona gajowego, a druga sołtysa. Korwic zaśpiewał:

O! lulaj mi lulaj,
Do snu oczki stulaj,
Jak cię Bóg uchowa
Pójdziem do Krakowa.
Oj miasto to ludne,
Pamiątkami cudne;
Tam wyniosłe góry
Pną się po za chmury,
Jakby ziemia cała
Z niebem się bratała.
Tam rzeźwiejsza woda,
Wonniejsza przyroda;
Dziewki i chłopacy
Jakie na nich stroje..
Modro koralowe,
Biało liliowe.
O! lulaj mi lulaj,
Do snu oczki stulaj,
Gdy mi wzrośniesz składnie,
Ubiorę cię ładnie
W śnieżną sukmaneczkę,
I piękną czapeczkę;
W niej pawie pióreczko
Z błękitną wstążeczką.
Gdy tak strojny będziesz,
Na konika siędziesz,
Wybiorę żoneczkę,
Krakowską dzieweczkę.
O! lulaj mi lulaj,
Do snu oczki stulaj;
Oj drogi chłopaczku,
Młody krakowiaczku,
Od swojej mateńki
Ucz się tej piosenki,
Danać moja dana,
Strona to kochana!

I za Korwicem wszystkie prawie kobiety powtarzały:

O lulaj mi lulaj,
Do snu oczki stulaj i t. d.

dziękując mu serdecznie za tak ładną piosneczkę.

— Teraz rzekł Korwic, będę wam prawił o ludziach, opiszę, jakiemi są krakowiacy i jak to o nich różni panowie piszą i głoszą.

— O słuchamy, słuchamy!

— Lud krakowski jak i lud całego kraju Polskiego w sercu ma wiarę swoich ojców; przywiązany do kraju, kocha swych panów, uległy, życzliwy braciom, jest trzeźwy, roboczy, gościnny. Ma rozum, choć jak to mówią tylko prosty, ale jędrny, i dający się do wszystkiego jak potrzeba użyć. Krakowiak każdy jest gościnny i serdeczny jak i wy Sandomierzanie. Ktokolwiek przyjdzie do jego chaty, pan, czy to jemu równy, przyjmie bratersko czem tylko może, gdy nie ma, to u sąsiada się zapożyczy, aby gościnnie uraczyć. Usłużny każdemu, życzliwy dla wszystkich, ale jak mu kto do żywego dopiecze, potrafi się gniewać i długo urazę pamięta, czasem mści się, ale częściej przebacza.

— Tak samo jak i u nas, rzekł gajowy.

— Otóż za króla Kazimierza Jagielończyka pewien starosta był bardzo uciążliwym dla kmiotków. Zdarzyło się, że ogień zajął już całą siedzibę, nie szli tak prędko na ratunek, jak to zwykle czynią. W takiem nieszczęściu widząc krakowiak nazwiskiem Janek Łopucha, że bracia jego nieskoro wybierają się na ratunek od ognia pochłaniającego dobytek starosty, stanąwszy przed gromadą, krzyknął:

— Bracia! pomścijmy się krzywdy naszej, i śpieszmy na pomoc choć niedobremu, niech pozna, żeśmy krakowiacy.

Rzucili się wnet wszyscy do ratunku, a Janek Łopucha był wszędzie na czele, uratowano znaczną część zbiorów i rodzinę pana starosty już prawie z płomieni wydarto.

Zdziwiony i rozczulony do łez starosta, nazajutrz po pożarze, ofiarował Jankowi wielką nagrodę pieniężną.

— Schowajcie panie swoje pieniądze, odrzekł mu Janek. Poznaliście co to bieda, umiejcie się nad nią litować, i bądzcie nam nie srogim panem, ale łaskawym ojcem.

Odtąd pan starosta był już lepszym i Janka Łopuchę prawie zmusił, aby wziął od niego większe grunta i gospodarował.

— A to mi dziarski chłopek, zawołał ktoś ze słuchaczów, dycht podobniutki do naszego Janka Rydzek, co żydów, gdy był na jarmarku w Przedborzu, od ognia ratował jakby rodzonych braci.

— Bo powinien, odrzekł Korwic, w obliczu Boga wszyscyśmy równi.

— Macie słuszność Korwicu.

— Piszą dalej w książkach, że lud krakowski jest mocny, na ich twarzach widne jest zdrowie. Chłopek bywa krępy, barczysty, wzrostu nie dużego, ale też nie małego; włos ciemny w krętych splotach na ramiona spadający nie kędzierzawy. Twarze tak u chłopków jak i u kobiet są więcej piękne, łagodne, szczere, mowa donośna, żywa; dowcipni, ostrożni, wyrozumiali, zręczni i wytrwali na trudy. W najgorszą zawieruchę, słotę, wiatr i mrozy lekko ubrani idą krakowiacy, aż się dziwować należy, iż tak mało dbają o siebie. Zmoczeni, utrudzeni, w pierwszej lepszej gospodzie rzucają się na słomę, a wypocząwszy trochę, zrywają się jak ptaki do lotu, zdrowi, weseli i dalejże w drogę. W nieszczęściach okazują stałość umysłu, cierpliwość i rzadką przytomność, nie wyrzekają, nie rozpaczają i w każdym razie poradzić sobie umieją.

— Jak dwie krople wody podobni są do naszych, odezwało się kilku gospodarzy ze słuchającej gromady.

Korwic zaś tak dalej prawił:

— Świąteczny krakowiaków ubiór, podoba się każdemu. Chustek na szyję zimą i latem nie znają; koszula, u której wązki kołnierz i rękawy związane kolorową wstążeczką, spięta jest pasem skórzanym ćwieczkami mosiężnemi nabijanym i takiemiż kółkami wykładanym. Od pasa jest rzemyk długo puszczony, na nim dzwoni 70 kółek, niby to na pamiątkę, że 70 kościołów w Krakowie.

W siedemdziesiąt tu kościołach
Polak czoło zginał,
To też w żadnej go przygodzie
Bóg nie zapominał.

Nóż zwany kozikiem noszą w kaletce przy pasie, przy nim hubka i krzesiwko, lulka z cybuszkiem w zanadrzu, lub za but wetknięta. Spodnie mają płócienne, albo dreliszkowe, albo z żółtej wyprawnej skóry. Buty juchtowe długie po kolana, do których zamiast obcasów przybite stalowe wysokie podkówki, przydatne w zimie do utrzymania się na oślizłej ziemi, w lecie do łatwiejszego chodzenia po górach, a w tańcu krzeszą niemi ognia, aż się skry sypią. Czapki ich nizkie rogatywki z karmazynowym wierzchem i wązkim czarnym barankiem; wierzchnie odzienie w lecie zwane gońką płócienną, w zimie sukmanka, a od święta kerezya zapinana na haftki.

W Proszowskiem używają sukmanki białej wyszywanej sznurkami, i ta mi się najlepiej podoba. W Szkalbmirskiem są koloru ciemnego, a kołnierz przewieszony na plecy wyszywany białym sznurkiem w różne wzory. Sukmany krakowiaków blisko Krakowa są granatowe, jedwabiem amarantowym haftowane, u zamożnych ma pętliczki białe na bokach z przodu i na rogach, albo też żółte. Krakowiacy już od dzieciństwa prawie umieją władać czterma końmi jednym lejcem: dół, czy nie dół, góra nie góra, pędzi jakby z wichrem chmura, a strzela z bicza jakby z fuzyi.

— A czy my to tak nie potrafimy Korwicu?

— Nie zapewniam tego, bo widziałem i znam wpośród was chłopów dziarskich, urodnych i żywych jak iskra.

— Ale słuchajcie dalej. Letni strój mężczyzn składa się z kitla białego płóciennego, gońką nazywany, ozdobiony kolorową włóczką i szerokich płóciennych spodni w buty puszczonych, z obszernego ale nizkiego kapelusza na głowie, ozdobionego wstążkami i pawiemi piórkami.

— A jakże tam kobiety się noszą, zapytała gajowa.

— Potem o tem, moi kochani, bo to długa historya. Na tem dziś skończę opowiadanie, bo mię w domu baba czeka z kolacyą, a potem pogadamy więcej.

— O! szkoda, mój Korwicu, bardzo to ciekawe. Ale cóż robić. Trzymamy was za słówko!

— W zakładach żeglugi parowej na Wiśle, istnieje od lat kilku zwyczaj, iż zarząd miejscowy z nadejściem świąt Wielkanocnych rozdziela pewną summę, do kilku tysięcy złp. dochodzącą, pomiędzy swych rzemieślników, jako rodzaj gratyfikacyi czyli nagrody.

Nagrody te dostały się tego roku nie którym rzemieślnikom tylko, mianowicie tym, którzy się pracą i zdolnością przed innymi odznaczyli.

Ludzie ci zacni powzięli myśl uczciwą, aby nagrody swe pieniężne dosyć znaczne, jak dla rzemieślnika, bo do sto złotych na jednę osobę wynoszące, oddać współbraciom swym uboższym, a obarczonym bardziej od nich rodzinami, którzy bez tej szlachetnej pomocy, byliby zmuszeni przepędzić święta o suchym kawałku chleba!

Czyn ten uczciwych rzemieślników naszych podajemy tu nie dlatego, aby wywołać pochwałę dla szlachetnych ofiarodawców, bo najlepszą dla nich nagrodą jest pociecha, jaką w sercu rodzi każde zacne uczucie; ale podajemy go, jako jeden z pięknych rysów charakteru naszego ludu, jako wzór godny naśladowania, obraz tych czystych uczuć prawdziwego braterstwa, które żyją i w piersiach, okrytych bluzą pracownika.

Jestto prawdziwa ofiara, o jakiej ewangelia mówi; wyobraźcie sobie bowiem człowieka, który sam nic nie ma nad 10 palcow u ręki, krwawo pracuje na kawałek chleba, który ma obowiązki i potrzeby własne i swej rodziny, a jednak bez namysłu oddaje owoc tych trudów dla brata swego, oddaje go, z własnego natchnienia, z miłością i rozkoszą serca—wyobraźcie sobie takiego człowieka, pomyślcie nad tem, a pewno go jednomyślnie uznacie za wypełniającego braterstwo w czynach, za człowieka nawet cnoty obywatelskiej. Do pojęcia lepszego obowiązków takich, bardzo pomaga oświata, a przynajmniej umiejętność czytania i pisania, które ułatwiają poznawanie wielu użytecznych wiadomości z książek. Lud więc nasz mający tyle chwalebnych w sobie przymiotów, do tego dążyć wszystkiemi siłami powinien. Zamożniejsi i oświeceńsi obywatele już rękę w tym celu uboższym podają.

Istnieje w Warszawie na Starem - Mieście Ochronka ubogich dzieci, nosząca miano ochronki księdza Baudouin (Boduen), którego życie i wielkie zasługi podawaliśmy w piśmie naszem. W ochronce tej przy rozdawaniu Święconego ksiądz Kryński miał stosownę przemowę, w której wykazywał potrzebę otwarcia biblioteczki, czyli czytelni dla ludu. Życzenia te już się ziściły, gdyż czytelnia podobna otwartą została przez księcia Lubomirskiego, w której w każdą niedzielę od 8ej do 10ej rano, a w każdą środę od 6ej do 8ej wieczorem opiekun ochrony wypożycza bezpłatnie książki ludziom mniej zamożnym i rzemieślnikom. Z dobrodziejstwa tego dotąd korzystało 3ch krawców, 4ch szewców, 3ch ślusarzy, 3ch cyrulików, 4ch subjektów handlowych 5ciu służących, jeden lokaj jeden stróż, 2ch woźnych, jeden furman i t. d. Redakcya Czytelni powziąwszy dawniej myśl wydawnictwa dziełek ludowych, w ciągu lat ostatnich kilka książek do podobnej biblioteczki stosownych wydała, a wiele w piśmie swojem z treści i przedmiotu wskazała. Życzymy z serca, aby się coraz bardziej zwiększała liczba czytelników i podobnych księgozbiorów!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 2 (14) kwietnia 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański.*